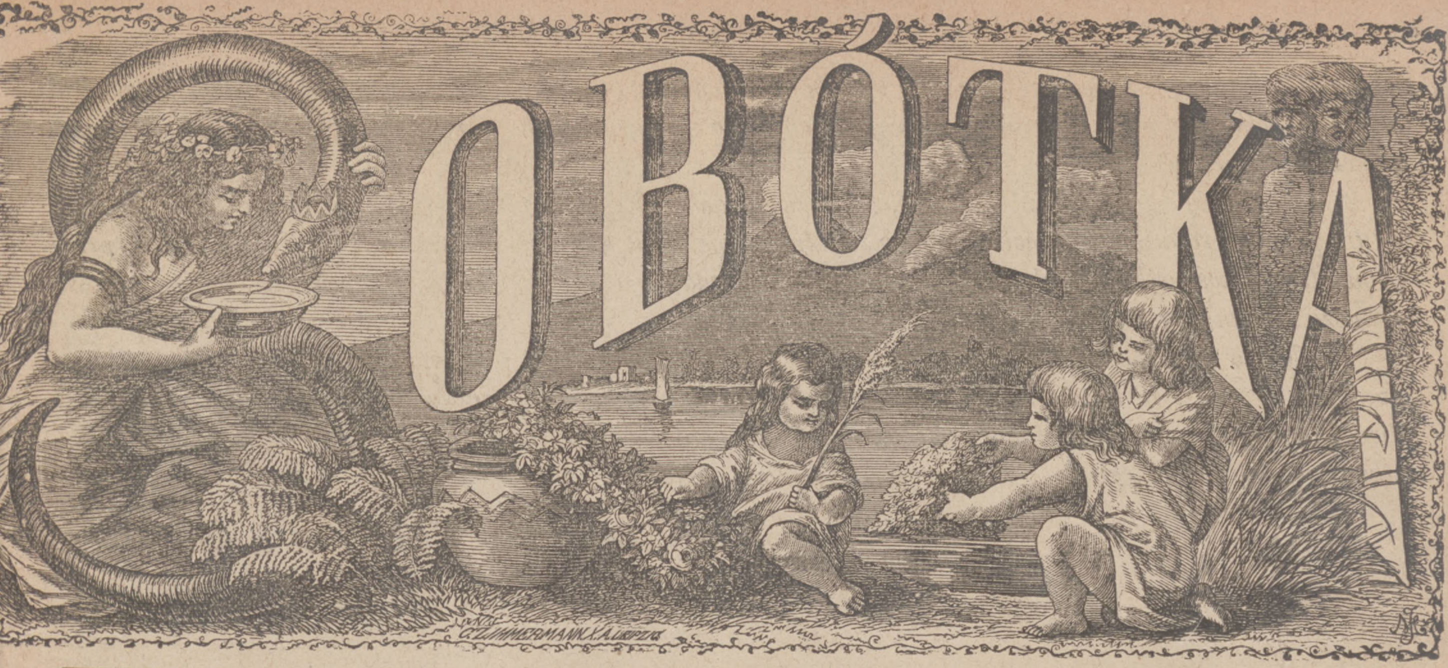


SOBÓTKA

TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 51. **Poznań, dnia 17 Grudnia 1870.** **Rok II**

Do Czytelników naszych.

Kiedy przed dwoma laty powstała myśl rozpoczęcia wydawnictwa Sobótki, odezwaliśmy się do Publiczności z żądaniem jéj poparcia, obiecując z naszéj strony nieszczędzić ani starania ani kosztów, ażeby zaufaniu w nas położonemu godnie odpowiedzieć. Dwa lata wydawnictwa przekonały nas, że Publiczność czuje potrzebę wypełnienia tych luk życia duchowego, którym zadosyćuczynienie za cel sobie położyła Sobótka. Nieśmiemy twierdzić, że cel ten w zupełności przez nas osiągniętym został — sami najlepiéj widzimy ujemne strony pisma naszego, ale trudności z jakiemi ono spotkać się musiało, niech nas w oczach Czytelników usprawiedliwią. Brak literackiéj i artystycznéj pomocy na miejscu, ztąd konieczność wspomagania się pracami, które nie zawsze z interesem miejscowych czytelników bezpośrednio wiązały się, w końcu zbyt niska cena, przy ograniczonéj liczbie prenumeratorów, były głównemi przeszkodami rozwoju Sobótki. Ale im większe trudności spotykamy, tém więcéj nas to przekonywa, że w zadaniu naszém ustawać niepowinniśmy — i dla tego silni przekonaniem i wiarą w żywsze poczucie potrzeby pokarmu duchowego w kraju naszym, postanowiliśmy z początkiem Nowego Roku Sobótkę rozszerzyć i tak część jéj literacką, jak artystyczną ulepszyć. W tym celu zawiązaliśmy stósunki z najpierwszemi siłami literackiemi naszego kraju, jak: J. I. Kraszewskiego, Libelta, Odyńca, Sabowskiego, Wojcickiego, Zacharjasiewicza i innych. — Przyrzeczenie pomocy otrzymaliśmy i już dziś nawet w tece znaczny zapas materyału posiadamy.

Pierwsze numery Nowego Roku zawierać będą powieść współczesną J. I. Kraszewskiego, Nowellę Wołodego Skiby i Józefa Narzymskiego, Opowiadania o naszych zwyczajach K. W. Wojcickiego, Opis Warszawy pod tytułem „Warszawa dziś i wczoraj“ tegoż autora, Poezye i Podróże artystyczno-literackie A. E. Odyńca, Rozprawę „O powieści i jéj znaczeniu w literaturze“ Bolesławity, Podróże I. Gordona itd.

Prócz tego stale, raz w miesiąc zamieszczać będziemy: Przegląd ruchu literacko-artystycznego pióra Bolesławity, Kronikę miejską i prowincyonalną, Recenzye teatralne i Przegląd bibliograficzny.

Nadto winniśmy dodać, że baczni na zewnętrzną stronę Sobótki, urządzamy dla niéj zakład drzeworytniczy, którego artystyczny kierunek obejmuje p. Baranowski. Nie wątpimy, że odtąd ryciny tak pod względem wykonania, jako i ich treści zadowolnią Czytelników naszych. Przede-

wszystkiém starać się będziemy, ażeby ryciny w Sobótce zamieszczane, stanowić mogły pewnego rodzaju album Wielkopolskie, zawierające obrazy zabytków historycznych, architektonicznych i miejscowych zwyczajów narodu.

Nakładcy nie szczędzą kosztów, redakcya zachodów, aby pismo, które w ciągu 2 lat zyskało 4,000 prenumeratorów, odpowiedziało w zupełności potrzebom i wymaganiu ogółu. To też celem przeprowadzenia wszystkich tych reform zmieniamy format i odtąd „Sobótka“ wychodzić będzie półtora arkusza druku tygodniowo. —

Mimo powiększenia formatu, mimo ulepszeń zewnętrznych i wewnętrznych, ceny nie podwyższamy w nadziei, iż każdy z Czytelników Sobótki poprze nasze usiłowania i przynajmniéj jednego lub dwóch nowych pozyska prenumeratorów. Prenumerata kwartalnie tylko 15 sgr. — przyjmują wszystkie kr. pr. urz. pocztowe i księgarnie, w Galicyi 1 fl. 15 (z przesyłką 1 fl. 40).

Nakładcy i Redakcya Sobótki.

Nieszczęsny Legat.

Powieść spółczesna

przez

J. K. Turskiego.

(Ciąg dalszy).

XII.

Przyjacielska przysługa.

W budynku niegdyś do kościoła św. Michała należącym, rozszerzonym i urządzonym odpowiednio, przy ulicy Poselskiéj oraz Kanonnéj, wznosi się gmach z moralnym bardzo napisem nad bramą: „Dom poprawy i kary.“ Jest to tak zwany pospolicie kryminał od wyrazu crimen zbrodnia, uformowany, i w téj nazwie znajduje odpowiedniejsze pojęcie do jego stanowiska. Kto siedział w kryminale, musiał się otrzeć o zbrodnię, musiał poznać zbrodniarzy — ale czy był należycie ukarany, lub tém bardziéj czy się poprawił, o tém wątpię. Już nieraz w téj materyi pisałem, więc tu się rozwodzić nie będę nad tém, że na tych warunkach, jak dziś jest instytucya moralnéj poprawy urządzoną, jest ona tylko moralnéj i materyalnéj nędzy przytułkiem. Dla złodzieja nieuczonego jeszcze dobrze, kryminał jest szkołą umiejętności najwyższych — dla zgłodniałego próżniaka jest łatwym sposobem utrzymania życia. Oprócz zaś téj ogólnéj wadliwéj strony urządzenia instytucyi poprawy i kary, organizacya jéj i administracya ma jeszcze w swoich szczegółach bardzo wiele błędów, dających się dostrzedz w codziennem obchodzeniu się miejscowych przełożonych z więźniami, w ich traktowaniu i żywieniu nawet. Byłoby to rzeczą bardzo pożądaną, aby ktoś głośno i energicznie wystąpił przeciw téj dotychczas krzywdzącéj społeczeństwo instytucyi, aby podał gruntownie opracowany projekt do jéj odmiany i udoskonalenia, i aby głos jego nie był głosem wołającego na puszczy; — my tutaj nie mamy miejsca ani odpowiedniego zakroju w pisaniu, więc też wspominamy tylko nawiasowo, przy wejściu do tego domu, w który nas tok naszéj powieści zaprowadzić raczył. — Wstępujemy więc bramą od ulicy Kanonnéj, do części zabudowania przeznaczonéj na więzienia śledcze. Miniemy więc sień i obie jéj bramy strzeżone przez warty wojskowe — i dostaniemy się na dziedziniec maleńki czworoboczny t. j. do okoła murami obwiedziony; z trzech stron ścianami budynku a z czwartéj murem granicznym sąsiedniego domu prywatnego. W głębi tego dziedzińca ukaże się nam brama z korytarzem wąskim i ciemnym i w ten wejdziemy. Po lewéj stronie wschody wiodące na pierwsze piętro, zaprowadzą nas na korytarz ciemny i długi, po bokach którego ujrzymy po 8 drzwi na kłody pozamykanych, z okienkami z krat blaszanych u góry. Są to tak zwane kaźnie czyli mieszkania więźniów, zostających dopiero pod śledztwem. Numer 19 tych drzwi obchodzi nas. Zbliżmy się. W izbie niewielkiéj widzimy trzech mieszkańców. Wszyscy spoczywają na tapczanie szerokim, żołnierskim, opartym o ścianę prawą, między drzwiami i oknem wysoko umieszczoném, zakratowaném gęsto i mało przepuszczającém światła. Na tapczanie tym trzy są posłania, wszystkie będące prywatną własnością więźniów. Na przeciwległéj ścianie krzyż, w kącie przy żelaznym piecyku dzbanek z wodą — i nieodzowny sprzęt niemieckiego nazwania — to reszta mebli. Więźniowie w swoich sukniach prowadzą jakąś urywaną rozmowę. Między niemi jest Stanisław, blady, smutny, ale spokojny dosyć i dzielący rozmowę dwóch swoich towarzyszy tylko od niechcenia.

— Bo proszę pana, mówił z nich jeden do niego — niski, rudego zarostu, przenikliwych maleńkich oczu, urzędnik jakiś z dyrekcyi finansów, ja tu już 8 miesięcy siedzę najniewinniéj, a czy mi kto wróci za to? —

— A ja drugi rok, wtrącił drugi wysoki i elegancko trzymający się jegomość — który był buchhalterem w domu jakimś handlowym. Jestem pewny, że mię puszczą, bo mi to i sam sędzia zaręczał, a jednak muszę tu siedzieć niesłusznie.

— Moja sprawa, rzekł urzędnik, jasna jak słońce.

Byłem w pewnym domu guwernerem przed dziesięciu laty — uważajcie panowie, przed dziesięciu laty. To spory czas. I potém wydaliłem się ztamtąd, bo ludzie byli niedobrzy i traktowali mię jak najemnika — a nareszcie tém już zmusili mię do porzucenia ich domu, że gdy pani domu, kobiecie dumnéj i chytréj, zginęła kolia jakaś bogata, dyamentami wysadzana, i będąca zabytkiem archeologicznym z czasów Henryka Walezyusza — w moich rzeczach, z polecenia gospodarza, odbywano rewizyę.

— A to niegodziwie, odezwał się buchhalter.

— Nie dość na tém. Przypadek zdarza, że w dziesięć lat potém, siostra moja, mieszkająca od lat 15 w Krakowie, znalazła na śmieciach kawałek mosiądzu — który teraz jest mojego nieszczęścia przyczyną.

— Jakimże sposobem?

— Mosiądz ten był podobno kawałkiem owéj przepysznéj kolii.

— I jakże się dowiedziano.

— A jakżeby — dumna kobieta ciągle się o mnie dopytywała — i gdy pewnego razu w mojém urzędowaniu zdarzył mi się przypadek, który po prostu nazywa się lapsus calami, t. j. gdym się w przepisywaniu omylił, zasuspendowano mnie, i odbyto rewizyę w domu. Wtedy mieszkałem u siostry. I cóż państwo powiecie, nie znajdują nic, oprócz owego kawałka mosiądzu. Jeden z urzędników spojrzawszy na mnie, rzekł zaraz: aha! to pewno reszta z téj kolii. Z jakiéj kolii, panie Dobrodzieju — spytałem się z gniewem i oburzeniem do wściekłości. — Powie panu pan sędzia — odrzekł na to przepłacony przez ową panią arystokratkę służalec, i — wyobraźcie sobie państwo, siedzę tu już 8 miesięcy za to głupstwo, urząd tracę — i Bóg wie, jak długo jeszcze siedzieć będę, bo świadków zwołują z różnych stron świata, aby poznawali, czy to jest mosiądz z téj kolii, czy nie. Więc zjeżdżają owi państwo, lokaje, służące, złotnicy, którym do naprawy dawała pani swój klejnot — kto wie co za bagatelę może — a ja siedzę i siedzę, i ledwo mię djabli nie biorą, bo żona z dziećmi głód cierpią w domu — i już chyba przyjdzie im pójść po żebrze. —

— To łajdactwo, rzekł buchhalter. U mnie tak samo. Zginęła jedna książka kredytorów — i na mnie zaraz. I kto wie co z tego być może, choć ja Bóg mi świadkiem, ani wiem, gdzie się ta książka podziała. A pan Dobrodziéj o co obwiniony? spytał się buchhalter Stasia, który przez czas tego opowiadania, milcząc leżał sobie na tapczanie.

— Ja tu siedzę za przyjacielską przysługę, którą mi mój kolega wyświadczył. I opowiedział im w krótkości całą historyę Piotrusia.

— A! widzi pan Dobrodziéj, rzekł urzędnik — to już sprawa zawilsza — tego Piotrusia my tu znamy. On tu nawet siedział ze mną parę tygodni — ale dawniéj jeszcze o papiery jakieś — ale przenieśli go pod inny numer, bo się prosił o samotność — i uciekł wtedy. O z tym to źle być w stósunkach.

— To łotr kompletny, rzekł Staś.

— O! nie zupełnie, panie Dobrodzieju — on także niewinnie prześladowany. On ma wroga w sądzie, tak jak ja. Jego siostra nie chciała iść za mąż za jednego konsyliarza, i za to jego tak prześladują. Ja też mam podobny wypadek. U mnie znów chodzi o żonę. Ale to smutna rzecz do opowiadania.

— I pan wierzysz bzdurstwom Piotrusia? spytał Stanisław.

— Jakto bzdurstwom? Przecież rodzice jego mieli się niegdyś dobrze. Karetą jeździli panie Dobrodzieju. —

— Znałem ich — ale takich bogactw tam nie było.

— A! widzi pan, zawsze byli bogaci, więc Piotrusia za to prześladuje teraz ten sędzia.

— Jabym pasy darł z tego łajdaka, rzekł na to z gniewem Staś.

— Słusznie, słusznie, jeśli panu zaszkodził, rzekł buchhalter. Mnie także głupie gadaniny jednego ze subjektów wpakowały w tę kabałę. Jabym teraz tego łajdaka i głupca spalił na stosie.

Staś zamilkł. Trudno było prowadzić rozmowę z tymi ludźmi, którzy tak nikczemnie opowiadali o swoich zbrodniach. — Przytoczyliśmy tu tylko parę ustępów z ich mowy, aby dać poznać czytelnikom charaktery nowego towarzystwa Stasia, towarzystwa, które samo już było niepospolitą męczarnią dla człowieka prawych zasad i czystego sumienia. — Przykre więc było położenie Stasia, zostającego pod najniesłuszniejszym zarzutem. Samo uwięzienie męczyło go okropnie, a gdy do tego jeszcze dodamy towarzystwo, w którém go trzymano, dla braku osobnéj kaźni, możemy uwierzyć, że Staś cierpiący już na Zwierzyńcu na piersi, — zaczął teraz naprawdę pokaszliwać, i parę razy rzuciła się mu krew ustami. Dawniéj cierpienie to pochodziło z niewygody i zaziębienia, teraz zgryzota powiększyła je znacznie. Gryzł się zaś biedny Stanisław rzeczywiście zawiłą sprawą swoją, w któréj było kilka pozorów przeciw niemu. Sędzia śledczy, człowiek sumienny i bystry, poznał wprawdzie jego niewinność, ale bezczelne kłamstwa Piotrusia wprowadzały go w ciągłe trudności. I tak Piotruś umiał naśladować cudze pismo. List, który przy nim znaleziono, napisany i podpisany przez Stasia, musiała osobna komisya biegłych w sztuce rozpoznawać, i w skutek wielkiego podobieństwa, nie orzekła nic stanowczego. Stasia to dręczyło okropnie, a udręczenie pogorszało stan jego zdrowia. Lekarz miejscowy uznał go za chorego i przeznaczył do szpitala. Staś odetchnął przynajmniéj, że go uwolniono od dwóch niewinnych złodziei, z których pierwszy t. j. urzędnik pisał po całych dniach parcele, drugi zaś, pan buchhalter malował z chleba ulepiane korale, sprzedając je tuzinami sznurów na mieście, za pośrednictwem nawiedzających go przyjaciół. W szpitalu dano mu osobny pokoik, ciepły, jasny i wygodny — a do posługi przeznaczono mu jednego kryminalistę, który za kradzież na rok tylko był skazanym, i kończył już odsiadywanie swéj kary. — Jest to bowiem przyjętem w domach poprawy i kary, że takich przestępców, którzy w miejscu zawyrokowania odsiadują swoje więzienie, czy to w kajdanach czy bez, używają do posług. Najprzód posługuje się niemi tak zwany pan Verwalter, rządzca, czyli kerkermeister — (godności te bywają téż czasem rozdzielane na dwie osoby) — następnie posługuje się więźniem kapral t. j. najstarszy z dozórców, potém dozórcy — a na ostatek sami więźniowie porządniejsi t. j. tacy, którzy będąc

jeszcze w śledztwie żyją na swoim chlebie, i mogą sobie posełać do miasta po różne wiktuały. Józef Konopnik, lat 28 liczący, rodem ze wsi Wola-Justowska w Wielkiém Ks. Krakowskiém, skazany na rok ciężkiego więzienia za kradzież pługa, sukmany i znajdujących się w niéj 120 złotych — był właśnie takim posługaczem wszystkich wymienionych wyżéj stopni hierarchii kryminalnéj, i teraz właśnie posługuje Stasiowi w szpitalu, i kontent jest Staś z niego bardziéj, aniżeli z dwóch pierwszych swoich towarzyszy; wolał bowiem rozmawiać z nim po prostu a otwarcie, aniżeli słuchać fałszu i oszustw niewinnych jego kolegów. Józef przyznał się mu ze wszystkiém, a w mowie jego widać było żal szczery popełnionego przestępstwa i postanowienie poprawy.

— Ino mię téż to korci, mówił raz podając leżącemu w łóżku Stasiowi kawę, że drudzy moi znajomi, co tu siedzą, to se nic z tego nie robią. Nasz kowal Franek, co tu jest za kradzież balasek żelaznych z ganku, śpiewa se po całych dniach, i mówił nawet wczoraj, że go cieszy, iż dostanie wyrok na dwa lata, bo se zwiedzi jakiś tam kraj niemiecki, i będzie miał jeść i pić dosyć, i przespać się w cieple. Są tu nawet proszę pana tacy, co umyślnie pod zimę kradną, aby mieć tę lichą strawę i kąt spokojny w kaźni.

Staś polubił tak opowiadającego Józka. Widział, iż nie jest zepsuty, a jedno przestępstwo nie może go stanowczo potępiać. Tymczasem zdrowie jego w coraz to gorszym było stanie. Sprawa przewlekała się na długo, i kto wie czyby sąd nie był nawet zmuszonym wydać niesprawiedliwego wyroku, co się czasem zdarza w nawale pozorów prawdopodobieństwa, gdyby sam oszust nie był go wyratował. Stało się następującym sposobem. Józek przyniósłszy zwykłym porządkiem kawę do szpitala Stasiowi, zamknął za sobą pewnego dnia drzwi z większą starannością niż zwykle, i zbliżywszy się do łóżka, nachylił się i z tajemniczą ostrożnością wsunął mu jakąś karteczkę pod kołdrę.

— Co to takiego? spytał się Staś.

— To jeden pan dał mi na spacerze dla pana. On téż tak niewinnie cierpi jak pan — a nędznie biedak wygląda.

— To pewno Piotr.

— A Piotr — Piotr — proszę pana, bo nawet mi kazał powiedzieć panu, że to od Piotra, to już pan będzie wiedział.

Staś spojrzał się na kartkę. Była zmięta i zapisana cała ołówkiem niezbyt cienko zatemperowanym. Napisane były na niéj następujące słowa: „Kochany Stasieńku! Zrobiłem ci, a raczéj chciałem zrobić przysługę przyjacielską, któréj nie chciałeś przyjąć odemnie wtedy, gdym był u ciebie z pierwszą wizytą... Pamiętasz? — Ty twemi zeznaniami potępiasz mię. Sądzę, że mógłbyś obronić; — uwolnij tylko mnie, a ja ci pod najświętszém słowem honoru zaręczam, że cię w trzy dni najdaléj wydobędę z ciupy. Powiedz żeś mię namówił. Wyrok mój będzie wtedy łagodny — i ja będę mógł zaraz frunąć — jak to wtedy. I zrobię ci przysługę drugą, że cię wnet za sobą pociągnę. Mów, żem ja nie chciał tego zrobić — w ogóle poświęć się na dni kilka, a ja się poświęcę dla ciebie na całe życie. — Gdybyś mógł przez oddawcę tego bileciku przysłać mi z parę złotych, byłoby dobrze — bieda tu ze mną wielka. Jedzenie dają złodziejskie, a zarobić nie umiem. Twój do śmierci. Piotr W.“ —

Staś przeczytawszy te słowa, ani chwili nie zastanawiał się nad niemi, jeno postanowił użyć ich za dowód swéj niewinności. Ochraniać niegodziwca nie widział najmniejszéj potrzeby, owszém sumienie nawet nakazywało wykryć całą jego brudotę i wymierzeniem sprawiedliwéj kary, powstrzymać od dalszych niegodziwości i zbrodni. Chodziło tylko Stasiowi o to, że przez podanie téj kartki do sądu zaszkodzić może swemu famulusowi. Myślał więc nad tém, jakby uniknąć tego, lecz nie mogąc żadnego wybiegu wymyślić, postanowił prosto i otwarcie powiedzieć wszystko, i prosić zarazem o darowanie winy Józkowi. W tym celu kazał się zameldować swemu sędziemu, i wręczył mu dowód swéj niewinności. Po oddaleniu się Stasia, któremu sędzia zaręczył, że będzie za parę dni uwolniony i ogłoszony za niewinnego, przywołano Piotra.

— Czy to jest twoje pismo, zapytał się go inkwirent surowym tonem.

— Które? rzekł Piotr wyciągając rękę po papierek znany mu doskonale.

— To — przypatrz się mu.

— Nie widzę z tak daleka.

— Możebyś chciał je dostać do swoich rączek?

— Chciałbym przyjrzeć się bliżéj.

— To chodź tu. Sędzia przed same oczy pokazał mu bilecik, rozkazując podprowadzić Piotra przed siebie.

— To? nie moje — rzekł Piotr wcale się nie wahając.

— Nie kłam, bo ci się to już na nic nie przyda. Nie mogłeś lepszym sposobem przyspieszyć swego wyroku i uniewinnienia tego zacnego człowieka, dla którego niby chcesz się poświęcić.

— To łotr jest ten człowiek. On mię do wszystkiego namówił. I teraz pewno nabazgrał tam co w mojém imieniu.

— Już ci się teraz twoje wykręty nie udadzą. Idź precz, wkrótce dowiesz się o swoim wyroku.

— Ale to być nie może, wielmożny panie sędzio — to jest oszukaństwo z jego strony; ja nic nie pisałem do niego.

Sędzia jednak nie żądał więcéj objaśnień. Biegli w sztuce porównywając różne szpargały Piotra, a nawet mniemany ów list Stanisława, z najświeższym bilecikiem, orzekli jednomyślnie, że to jest jedna i ta sama ręka. W skutek tego orzeczenia Stanisław uznany został zupełnie niewinnym, jak również i biedny ów Grzywa, którego na zasadzie fałszywych zeznań Piotrusia, także trzymano w więzieniu. Sprawa poszła prędko. W dni 8 po odbytéj sesyi generalnéj, na któréj zatwierdzono zdanie sędziego referenta — Stanisław wypuszczony został na wolną nogę (auf freien Fuss) — i natychmiast powitała go czekająca już na niego ze łzami radości w oczach ciotka Eufemia — która jednak ujrzawszy go zmienionego chorobą i zgryzotą — zapłakała także boleśnie. Staś czuł się zdrowym i szczęśliwym. Sumienie nie wyrzucało mu, że nadużył zaufania swego przy-

jaciela, bo postępek jego wszyscy uznali za bardzo właściwy, słuszny i konieczny.

Z powodu zimowéj pory, było to bowiem w styczniu, ciotka Eufemia idąc za radą lekarzy, zostawiła Stasia w mieście, najęwszy mu wygodne mieszkanie i zaopatrzywszy go we wszystkie potrzeby. Był przy nim do posług najęty człowiek który go na krok nie odstępował, był nawet przywieziony z Tatrzanki Sokół jego ulubieniec, który się nadzwyczaj serdecznie przywitał z swoim panem, poznawszy go od razu. — Staś nie mógł wiele chodzić, lekarz pan Sylwester, ten sam, który go pierwszy zalecił pani Ambrożowéj, jeszcze za życia pana Ambrożego radził mu nie wychodzić na ostre zimowe powietrze, polecając przebyć cierpliwie zimę w pokoju, a na wiosnę jechać na wieś. Wtedy pan powrócisz zupełnie do zdrowia, mówił pan Sylwester, gdy o letchniesz świeżém i zdrowém powietrzem Tatrzanki; teraz zaś należy spokojnie przesiedzieć w domu, rozrywać się czytaniem książek, i towarzystwem niezbyt hulaszczém, ale wesołém. Staś więc musiał odsiadywać drugie więzienie, tym razem przynajmniéj dobrowolne i spokojniejsze nieco, zawsze jednak wywołane tą samą przyjacielską przysługą Piotrusia. — Ciotka opiekowała się nim prawdziwie po macierzyńsku. On przyjmował z wdzięcznością jéj opiekę. Mieszkanie jego było elegancko i gustownie, ale nie zbytkownie urządzone — książek do czytania miał podostatkiem, przyjaciół tylko odwiedzających go — zabrakło. Jeden, najdawniejszy, najszczerszy byłby był zapewne najczęstszym jego gościem, gdyby nie obowiązki domowe, które go zmuszały do całodziennéj pracy i troski o dom zupełnie nowy. Był nim Tomasz Wolicki, rządzca dóbr i lasów bogatego pana barona M., który go na ten urząd posunął w nagrodę za uczciwe i pilne dozorowanie owéj fabryki, przy któréj to jeszcze Staś mieszkał u niego. Ale Tomcio ożenił się już od dwóch lat przeszło. Doczekał się zdrowego i pięknego chłopaka, i pracuje w czoła pocie na kawałek chleba, którego mu dzięki Bogu nie brakuje. Nie proszony i nie wzywany, przyszedł on natychmiast do Stasia, skoro się tylko dowiedział o jego uniewinnieniu. Powitał się z nim równie serdecznie i szczerze jak dawniéj, bo jego serce nie ostygło bynajmniéj w przyjaźni ku swemu dawnemu przyjacielowi. —

— Tomciu, Tomciu, patrz co się to ze mną zrobiło, mówił Staś pokaszlując i ściskając przyjaciela za rękę — dużo zmiany postrzegasz we mnie, nie prawda?

— Tak wiele znowu nie, odrzekł na to wzruszony Tomasz, u mnie zmian zaszło daleko więcéj. Tyś się tylko o tyle zmienił, żeś się pokierował na hreczkosieja, z czego się bardzo cieszę; ale ja słuchajno tylko: ja się ożeniłem mój Staśku. —



Tatarzy.

— Doprawdy? A niechże ci Bóg błogosławi. I z kimże? —

— Jużci że nie z Maryą, ale z uczciwą i zacną panną Waleryą W. którą poznałem u mamy, wkrótce po twojém zniknięciu. Jestem teraz rządzcą u barona M.; mam dzięki Bogu wystarczające dochody, i mam nadto synka, co już trzeci roczek zaczyna.

— Szczęśliwyś więc, mój Tomku, szczęśliwy — ale ja...

— I ty będziesz szczęśliwy, drogi Stasiu — skoro tylko zapomnisz o twoich dawnych figlach.

— O wszystkiém zapomnę, mój kochany, ale nie mogę zapomnąć ot tego... To rzekłszy jakby na zawołanie zakaszlał mocno, i pokazała się nawet krew w jego ustach.

— To Bóg uleczy mój Stasiu. Nieszczęsne to więzienie nabawiło cię mocnego kataru.

— Jeżeli to tylko katar... rzekł z westchnieniem, kiwając głową.

— O! nie trzeba sobie zaraz przybierać do głowy.

— No, no; dajmy temu pokój. Mówmy lepiéj o czém inném. Patrz co się to stało z tym naszym Piotrusiem.

— Ja się tego zawsze po nim spodziewałem. — Już w szkołach przecie zdradzał swój zawód przyszły. Nie pamiętasz, jak to ogrywał w karty kolegów, i jak raz przekonano go, że miał fałszowane karty.

— Ale to kompletny zbrodniarz już dzisiaj.

— Od rzemyczka do kożuszka. — Na takich i podobnych rozmowach schodził czas Stasiowi dość szybko. Tomcio bywał u niego dość często, choć już nie co dzień, lekarz Sylwester czuwał nad jego mocno nadwerężoném zdrowiem, panna Eufemia pielęgnowała jak syna, opiekując się nim serdecznie, odwiedzał go i Grzywa; zajrzał także czasem i pan Filip, a pewnego razu odwiedziła nawet pani Ambrożowa, szczerze nbolewająca nad jego słabością, i proponująca mu nawet mieszkanie u siebie, którego nie przyjął. Staś pędził życie urozmaicane życzliwością i przyjaźnią dobrych ludzi — czytaniem ładnych książek — ale zawsze był znękany smutny, pomimo iż często śmiech gościł na jego licu wywoływany troskliwą przyjaciół rozmową. —

(Dokończenie nastąpi).

Wspomnienia starego szlachcica

Mnożysława Przekory.

(Obrazek społeczny).

(Ciąg dalszy).

Takim sposobem odbywałem z ojcem praktyczny kurs gospodarstwa wiejskiego. Nie powiem aby takowe rozmowy miały być dla mnie bez interesu; lecz mając ciągle na myśli Paryż, radbym był na skrzydłach jaskółki dostać się do niego. Nieraz więc opowiadania ojcowskie zdały mi się niesłychanie rozwlekłe, i mimowoli napadało mnie gwałtownie ziewianie, które, ma się rozumieć, rozmaitemi przebiegami przed okiem ojca ukrywałem.

Tymczasem schodziły tygodnie i miesiące, i zima wreszcie nadciągnęła. O mojéj podróży nic; ojciec zawsze coś nowego wynalazł, czém mnie zajmował, a często niecierpliwił. I tak: z tak nazwanym pisarzem prowentowym ułożyłem całoroczny rachunek gospodarski, według buchhalteryi ojca mojego, a z tego rachunku musiałem następnie układać rozmaite bilanse. Naprzykład, co korzystniéj dla gospodarza, czy konie robocze utrzymywać, czy woły? W odpowiedzi trzeba było wyrachować na monetę wszystkie względy: koszt zakupu, długość czasu użycia, dogodność i szybkość roboty, koszt utrzymania, zaprzęgi, korzyści poboczne z nawozu, przewidziane i trafowe przygody, korzyści po wyjściu z użycia i t. d., i to wszystko należało obracać na ceny zwyczajne, a nie urojone. Takież same porównawcze rachunki musiałem ułożyć co do produkcyi zbóż rozmaitego gatunku. Bo naprzykład ojciec mój w dwóch tylko polach siał jęczmień, tatarki zaś od wielu lat ani ziarna nie powierzał ziemi; a ponieważ to opierało się na jego doświadczeniu, kazał mi więc z rachunków swoich starych wybadać przyczynę takowego postępowania. Musiałem obrachować korzyści chowu owiec z grubą wełną i porównać chów owiec z chowem krów. Nawet trzoda chlewna, gęsi, kaczki, kury, indyki, gołębie dostały się pod moje pióro. Słowem nie było najmniejszego drobiazgu w gospodarstwie wiejskiém, żebym go nie obrachował na wszystkie boki.

Wszystko to było zatrudnieniem godzin dorywczych, bo zwyczajnie musiałem doglądać wszystkich szczegółów gospodarstwa i ojcu zdawać sprawę jak ekonom. Wśród takowego zajęcia tak zasmakowałem w gospodarstwie, że już jedynie o poprawie jego marzyć począłem. Paryż mi znacznie zobojętniał; myślałem jedynie o lepszych gospodarstwach za granicą.

Żeby się jednak komuś nie zdawało, iż całe życie nasze upływało na chodzeniu od obory do stodoły, od stajni do spichrza, a wreszcie do stolika rachunkowego, muszę napomknąć, że choć po większéj części tak bywało, boć to było nasze powołanie, jednakże mieliśmy i chwile rozrywki. Bawiliśmy się, osobliwie w święta, to u nas, to u sąsiadów; bywały czasami i skrzypki, i basetle, wywijało się to mazura, to krakowiaka. Panienki były i ślicznie i cudnie postrojone, choć bez wielkich ceregielów; bo dzięki Bogu wówczas kuryer czy nie żył, czy téż o modach zapomniał. Dla tego téż ówczasowe panie i panny ubierały się tak jak któréj było do twarzy, nie bacząc na stroje bogatszych. Ale bo téż podówczas, przy taniości pszenicy, musiałaby niejedna, chcąc dzisiejszéj mody ubiór sprawić, około dwudziestu korcy najpiękniejszego ziarna dźwigać na sobie. Tak uciążliwe nasze zabawy nie bywały; dlatego mile je wspominano, nikt po nich nie wzdychał, Lejbusiowi się nie kłaniał, ani szeptano po kątach, zkąd ta lub owa takie fioki bierze.

Karnawał zszedł na zabawach i pracy, post przepędziliśmy na pracy i pogadankach, w mniejszych lub większych zebraniach sąsiadów. Wielkanoc dość późna, była piękna i wesoła. W niedzielę przewodnią ojciec zapowiedział mi blizki wyjazd, dodawszy nawiasowo kilka przestróg. „Przedewszystkiém, rzekł ojciec, musisz mi waść przyrzec, że udasz się tam głównie, gdzie ci wzorowe wskażą gospodarstwa, że nie pojedziesz do Payża, zkąd wielu zaledwie ducha w skórze przywłóczy. Gdziekolwiek będziesz, nie graj roli pana; z góry na Niemca skoro ci powie Herr Graf; o wszystko się pierwéj targuj, bo ja słyszałem że to Niemcy między sobą mają być niby rzetelni, ale nie mają skrupułu odrzeć cudzoziemca. W każdéj fabryce interesującéj cię nie wstydź się jąć pracy, choćby téż i najprostszéj, bo tym sposobem lepiéj poznasz jéj bieg. Nadewszystko staraj się wszelkiemi sposobami dociekać sekretów fabrycznych, które majstrowie skrzętnie ukrywają, nietylko przed obcemi ale i swojemi. Na głowie waści nie zbywa, byleby ochoty nie brakło.“

Zapewniłem ojca, że o Paryżu nie myślę, jednakże nie chciałbym opuszczać północnéj Francyi, a osobliwie Normandyi, w któréj mają być nie złe gospodarstwa

w pewnych względach. „Ba! rzekł ojciec, ja ci o Francyi nic nie mówię, tylko nie chcę żebyś się uczył gospodarstwa w Paryżu, bo my u siebie nigdy takiego nie zaprowadzimy. Umieją i w Warszawie skubać paniczów, ale tylko swoich; żaden zagraniczny nie przybędzie z pieniędzmi, tylko po pieniądze, któremi go na wyścigi obsypujemy, aby się potém u siebie mógł swobodnie najgrawać z naszéj głupoty i rozprawiać o naszém barbarzyństwie. Prawdę mówiąc, jest ci to niejakie barbarzyństwo ubożyć siebie, dla spanoszenia obcego wałęsy.

W parę dni po téj rozmowie już byłem na wózku. Odbywałem podróż w rozmaity sposób, to pieszo z tobołkiem na plecach, jak pospolity w Niemczech Wanderbursche, to na furmańskiéj bryce, kiedy niekiedy pocztą. Takim sposobem przewędrowałem całe północne Niemcy, część Hollandyi, Belgią, zawadziłem nawet i o Francyą. Brała mnie wprawdzie pokusa zwiedzić Paryż, ale żądzę moję hamowało przyrzeczenie dane ojcu. Prócz tego spotkałem w drodze biédnego panicza zdebankowanego, który cichaczem zmykał z tego czarodziejskiego miasta, co jednych panoszy, a drugich w żebraki przemienia, i to w mgnieniu oka: va banque, i jużci skończona metamorfoza. Boże! wróć wieki barbarzyństwa, aby takich czarowników pławiono!

Trzy lata przeszło spędziłem na téj wędrówce. Tu się bawiło miesiąc, tam dwa i trzy, w miarę jak się powiodło pojąć przedmiot który pojąć chciałem, i który dla dalszych widoków pojąć trzeba było. Byłbym ja zajrzał koniecznie i do Anglii, lecz nie znając języka, niema się po co puszczać w celu naukowym; prócz tego ojciec naglił bym wracał czémprędzéj.

Tęsknił stary. Wszyscy bliżsi sąsiedzi przegospodarowali swoje włości w ręce nowych posiadaczów, którzy, choć się tu porodzili, zawsze przecież z uczuciem wspominają Spreę lub Jordan. Nie było więc towarzystwa w blizkości, a dalszego nie chciało się szukać staremu i zdrowie nie pozwalało. Przywitał mnie więc ze łzami w oczach, tém radośniejszy, że mnie ujrzał czerstwym i zdrowym.

Pragnął stary w jednéj chwili dowiedzieć się odemnie gdziem był, com widział, czegom się nauczył, a tu było na cały rok co do mówienia. „No! i jakże tam, jednym wyrazem, te mądre niemieckie gospodarstwa?“ — „Oj! co mądre to mądre, odpowiedziałem, ależ w jednym wyrazie trudno objąć ten rozum gospodarczy Niemców. Zdaje mi się wszakże, iż możnaby go głównie, w porównaniu z nami, oprzeć na téj zasadzie: Niemcy dla tego jedzą i piją żeby żyli, — my zaś zdajemy się żyć dla tego żebyśmy jedli i pili. Ta zasada, zapewne dziecinna w oczach niejednego, ważne za sobą prowadzi następstwa, o którychby wiele dało się rozprawiać.“

Niebardzo to podobało się ojcu, który pragnął usłyszeć odemnie potwierdzenie ulubionego swojego przysłowia: ot mospanie, wszędzie kotka bura! Dla tego przerwał mi mowę zapytaniem, czy mi jaka Niemka nie zawróciła głowy i na panegirystę Niemców nie wystrychnęła. „Bynajmniéj, odpowiedziałem, nie udałem się do Niemiec po żonę, tylko po naukę: mając więc cel wytknięty, prosto do niego zdążałem, nie zbaczając z drogi. Zbliżałem się i do Niemek, ale to tylko wtedy, gdy mi szło o rozpoznanie gospodarstwa kobiecego. Zresztą Niemki, choć są czułe i wrażliwe, przecież do miłostek z cudzoziemcami nie tak skore jak Polki.“ — „A to skaranie boskie! zawołał ojciec, z widocznem uniesieniem, a toć widzę żeś się waść w Niemca przedzierzgnął i już własne gniazdo plamisz!“ — „Ależ ojojcze zlituj się, odpowiedziałem, wszakże i największemu wrogowi sprawiedliwość wymierzyć należy; a oprócz tego ja nie plamię swojego gniazda, ale radbym je z całego serca oczyścić z tego brudnego kału, którym powoli załazi. Toć nas to właśnie gubi, że nie możemy sobie w oczy wytknąć przywar i usterków, wszystko w sobie dobrze widzimy. Że mamy wiele przymiotów bardzo pięknych, tego nikt nie zaprzeczy, ale też mamy i za co uderzyć się w piersi! Jest w nas silne uczucie prawości, obstajemy wszędzie za prawem, ale gniewamy się skoro to prawo samowolności naszéj zawadza. Wszystko co tylko ogranicza naszą wolę, przymusem, ciężarem nieznośnym zowiemy. Nie chcemy znać, nie czujemy w cale tego co Niemcy zowią Pflichtgefühl, uczucie obowiązku, co przecie jest gruntem cywilizowanéj społeczności i że tak nazwę moralności towarzyskiéj.

„Ztąd pochodzi, że każdy u nas wzdycha do niezależności, to jest do stanowiska, w któremby żadnych względem nikogo nie miał obowiązków, a tém samem mógł żyć według swojéj fantazyi. — Młodzieniec tylko co się wyzwolił z lat dziecinnych, jeszcze nie poznał dobrze różnicy między czasem teraźniejszym a przeszłym, przyszłego uformować wcale nie umie, a już marzy jakby się prędzéj wymknąć ze szkoły; dla czego? oto żeby żyć swobodnym, niezależnym, wykluczyć z gramatyki życia swojego tryb rozkazujący. Jeżeli jest jaka taka folwarczyna, na któréj rodzice mają tytuł własności, panicz, nie wdając się w hipotekę, tworzy plany gospodarstwa na niéj. Nauczyciel prawi z kadedry o górach, rzekach, kanałach, a panicz w imaginacyi swojéj hasa na człapakach po łąkach, polach, przesadza rowy, płoty, strzela kuropatwy, chartami szczuje zające, lub się po gaju ugania za nimfami wiejskiemi; a gdy się z tego snu fantazyi przebudzi w końcu roku szkólnego, dalejże do różnych brać się fortelów, by ustrzelić promocyą. Przecież nic nie pomogło, spudłował! Być drugoletnim uczniem klasy czwartéj czy piątéj nie może, nie żeby się nie miał czego uczyć, ale że wstyd dla niego, wstyd dla rodziców. Cóż więc robić? panicz wyrostek, ciemny jak tabaka w rogu, drze się gwałtem do gospodarki; rodzice nie pozwalają; bo wiedzą że niema ani na czem, ani czem gospodarować. Durząc więc syna, mamią świat, wreszcie sami się łudząc, pod pozorem młodego wieku, dla dokończenia edukacyi, wysyłają go za granicę, choćby aż do Wrocławia lub Torunia i tam puszczają samopas.

„Tu dopiero młodzieniaszek, w chwili budzących się namiętności, bez najmniejszego rozwinięcia władz umysłowych, rozpoczyna próbę swobodnego życia, trwoniąc szczupły grosz, Bóg wie z jakim trudem przez rodziców dostarczany, powiększając go nieuiszczaniem należności za pierwsze potrzeby życia; płaci radośnie tak zwany dług młodości w świątyni Cytery, i po trzech lub czterech latach zagranicznéj w jedném mieście wędrówki, wraca z przedsionka Eskulapa dojrzałym mężczyzną, na twarzy i w całéj postawie obraz czterdziestu lat najmniéj przedstawiając.“

„Teraz już koniecznie trzeba się czegoś jąć, ale czego? Nauka cała kończy się na nędzném czytaniu i nędzniejszém jeszcze pisaniu; ukształcenie na zewnętrznéj ogładzie światowéj polega; wiadomości gruntownych w żadnym przedmiocie niema: cóż więc przedsięwziąć? oto zabrać się do gospodarstwa. To jedyne powołanie! najprzód niezależne, a powtóre żadnéj niepotrzebuje nauki; boć przecie chłop, bez najmniejszego ukształcenia, a najlepszy gospodarz. Zniknął wprawdzie przesąd, że kto z książki gospodaruje, ten chleba niema; ależ książka gospodarska, to nie filozofia, zrozumieć ją łatwo, a obejść się bez niéj jeszcze łatwiéj. Dalejże więc myśleć o gospodarstwie. Ponieważ funduszów niema, więc szukać trzeba żony z odpowiednią szkatułką. Zawiera się ślub dla formy w kościele, a istotny u regenta: posag liczy się z miłośném uczuciem, a żonę mieści się między meblami przy fortepianie, lub dla ozdoby kanapy.“

— „Dosyć już tego, przerwał ojciec z żywém uniesieniem, toż ja dla tego odłożyłem niemało grosza na podróż waściną za granicę, żebyś wróciwszy szydził ze wszystkiego co jest krajowe, a nawet i na ojca nie miał względu? Ja także nie byłem za granicą, bom nie miał

do tego sposobności; znam wielu szanownych obywateli co takąż jak ja odebrali edukacyą, a jednak są zaszczytem kraju, i gdyby tylko... Ale co tam, żal się Boże i czasu i atłasu: at, już mi więcéj nie rozwódź się waść z tym swoim zagranicznym rozumem.“

— „Ależ daruj ojcze, rzekłem, alboż ja nie powiedziałem już że u nas jest wiele dobrego. Ja wiém że mamy dzięki Bogu wielu szanownych mężów we wszelkich powołaniach; wielu miałem szczęście poznać osobiście, bardzo wielu znam z nazwiska, a bez wątpienia daleko więcéj jest jeszcze których odgłos nie doszedł uszu moich. Zwiedzając kawałek obcéj ziemi, gdym zwracał myśl do rodzinnych kątów, przekonałem się, że wszędzie się znajdzie rozum, byle tylko szukać, i u nas go wcale nie braknie. Ale niechże mi ojciec powie, czy nieprawda że ten rozum powoli coraz rzadszym się staje? Niechże się ojciec po swoich bliższych sąsiadach obejrzy, co się z niemi stało i dla czego? Ojciec nie był za granicą, ale z chlubą skończył szkoły ks. Pijarów; a byłyż to wówczas szkoły! niech sobie mówią co chcą. Parę lat ojciec strawił w akademii krakowskiéj; a że okoliczności krajowe nie pozwalały dosiadywać na ławie szkólnéj, to takie było przeznaczenie Opatrzności; jednakże z tém co ojciec zebrał na niwie naukowéj, jest się dobrze z kim podzielić.“

— „No! odezwał się ojciec z westchnieniem, a toć prawda że złe coraz się wzmaga. Przykro patrzeć jak młodzi kręcą się jak muchy w smole, chcą zakasować starych, poprawiają gospodarstwa, murują, budują, zaprowadzają fabryki, trwonią grosz pożyczany, i w końcu majątki krwawo przez rodziców zapracowane puszczają w ręce wychodźców z nad Sprei, Wezery i Bóg wie nie zkąd, co się tu rozpisują ze swoją przylepką won, co u nich, jak słyszę, ma znaczyć szlachcica, chociaż podobno niejeden z nich, jak cichaczem szepcą, poszedł won od pocięgla. Toćby to jeszcze znośniejsza była, gdyby wprost wychodźcy z Bambrów lub Szwabów przybywali tu z pieniędzmi; tacy niechby się pawili. Ale to gorsza, że to są po większéj części wanderbursze, co z tobołkiem na plecach przybywszy, na naszym chlebie utyli, naszym groszem się zapomogli, a zostawszy panami won, najgrawają się z tubylców. Jest wprawdzie i na nich kara boska; bo już niejeden zjechał z gospodarki i wrócił do stanu w jakim przybył, nie mogąc się już ratować, z przyczyny podeszłego wieku. Otóż to nie złe przysłowie: szewcze! nie rzucaj kopyta. Drudzy przecież nie baczą na to i na oślep rzucają się w tę przepaść: zdawałoby się że mania gospodarstwa wiejskiego jest u nas zarazą endemiczną. Ale proszę cię powiedz że mi, za granicą jak się téż biorą do gospodarstwa?

— „Na to odpowiedź niełatwa, rzekłem, bo co kraj to inny obyczaj. Główna atoli różnica zdaje się na tém polegać, że nigdzie niema tego przekonania, aby gospodarstwo wiejskie miało być pewnym rodzajem dyplomu szlacheckiego, co u nas po większéj części nęci szewców, krawców i t. p. W niektórych krajach szlachta wcale po wsiach nie mieszka, i ci co się gospodarstwem rolnem zajmują, od ogółu nie są uważani za szlachtę, choćby nawet wywiedli prawa herbowe. W innych krajach szlachta i nieszlachta wiejskie prowadzi życie: ale syn szynkarza, krawca i t. p., biorąc się do roli, ani pomyśli, żeby przez to miał nabywać prawa do herbu. Wogóle wszakże warunki gospodarstwa sprowadzając do jaknajkrótszych terminów, powiedziałbym że ich jest trzy: najprzód zamiłowanie, powtóre, przyzwoite usposobienie, potrzecie, odpowiedni fundusz; bo Niemcy tak dobrze wiedzą jak i my, że z piasku bicza nie ukręci, a wilkiem orać nie można.

Dokończenie nastąpi.

ROZMAITOŚCI.

Tatarzy. (Z ryciną).

Nazwa ludów bardzo watpliwego znaczenia, u historyków i etnografów wschodnich i zachodnich raz bardzo ograniczoną, drugi raz nieco rozleglejszą doniosłość mająca. Pierwiastkowo, oznaczając nazwę jednego pokolenia Mongolów pod względem etnograficznym, późniéj stała się zbiorową nazwą Tatarów. W Europie dla podobieństwa ze starożytnym Tartarus przemieniono nazwę na Tartarją t. j. z piekła pochodzącą. Liczbę wszystkich indywiduów należących do ludowego i językowego szczepu Tatarów, podają na 34 miliony. Tu należą Tatarzy południowéj Rosyi i Kaukazu, Tatarzy nad Wołgą, Uralem, Tomą, Iszymem i Tobolem. Część mała tego plemienia,, dostała się do Polski i tam osiadła. — Byli to częścią niewolnicy wojenni, częścią zaś dobrowolnie szukali gościnności w ziemi naszéj. Dotąd odznaczają się oni prawością charakteru i patryotyzmem. — Głównym ich siedliskiem jest Litwa. —

Zagadka.

Czwarte pierwsze przy wodach tylko się zakłada,
Drugie wspak — głoska, trzecie w radzie państwa siada,
Trzecie pierwsze jest miasto we włoskiéj krainie,
Wszystko zaś, owoc grzechu, zaszkadza jedynie.

Rozwiązanie zagadki w Nr. 50: ***Korzenie***).

Korespondencya Redakcyi.

Panu Herkulesowi w Poznaniu: Dziękujemy. Dowcipne. uśmialiśmy się serdecznie, drukować jednak dla wielu względów nie możemy. — Panu Z. z Wągrowieckiego: Źle Pan naszą odpowiedź zrozumiał. — Korespondencya drukowaną nie będzie — na przyszłość zaś tylko z faktów podanych moglibyśmy w sprawozdaniach naszych korzystać. Ale i w takim razie podpis jest konieezny. — Panu S. K. we Lwowie: Obecny numer jest przedostatnim w tym roku. — Rok nowy rozpoczniemy w nowéj sukience, i dla tego staramy się powieść drukowaną jeszcze w tym roku ukończyć. — Resztę listownie zakomunikujemy. —